



BOLESŁAW PRUS

WIDZIADŁA

**Bolesław Prus**

**Widziadła**



**Fundacja Festina Lente**

**O**to jest dokładna opowieść litewskiego szlachcica Wzdychajły o dziwnym wypadku, jaki zdarzył mu się w Warszawie. Opowieści tej chciałoby się nie wierzyć, gdyby nie została potwierdzona przez dwu świadków zasługujących na zaufanie.

– Przyjechałem – mówi Wzdychajło – do Warszawy nie tyle z gotowymi pieniędzmi, ile z przekazami na parę tysięcy, chcąc sobie tutaj u was nabyć chatę niedrogą, ale dochodową, może za sto pięćdziesiąt, może za dwieście tysięcy rubli, gdyż na więcej mnie nie stać, biedaka. Że zaś dużo słyszałem w Wilnie o waszych złodziejach i okpiszach, więc zamiast stanąć w oberży, odnalazłem sobie dawnego kolegę, jeszcze z Syberii, Poniewolskiego, i u niego zamieszkałem na Podwalu.

Ledwie się sprowadziłem i ledwie wyszliśmy z kolegą na ulicę, zaraz przyplątał się do nas jakiś jegomość średnich lat, z różowym nosem, wygadany, a znajomy mego kolegi, i ten jegomość, nazwiskiem Pijankiewicz, z miejsca wybadawszy ode mnie, po co przyjechałem, poradził nam, ażebyśmy poszli na Stare Miasto.

– Nie dlatego, Boże uchroni – mówił jegomość – że w Rynku siedzi Fukier, ale – może nasz kochany Litwinisko właśnie tamtędy upatrzy sobie kamienicę, którą kupiwszy odnowi. Na chlubę własną i pożytek całego narodu.

"Ha! – myślę – jeżeli cały naród bez wyjątku ma mieć z tego pożytek, to może i trzeba kupić dom w Rynku..."

Minęliśmy parę uliczek, aż Pijankiewicz odzywa się:

– O, tu siedzi Fukier, ale do niego nie namawiam, bo teraz ciężkie czasy... A oto jest Rynek naszego kochanego Starego Miasta...

Rozejrzałem się... Cóż, domy jak domy. Jedna rzecz mi się tylko nie bardzo podobała, że plac zastawiony kramami, że pełno Żydów w onych kramach, na chodnikach i w sieniach i że czuć fetor... W takim miejscu nikt porządny nie zechce wynająć komornego...

Ledwem to powiedział, aż Pijankiewicz w krzyk:

– A jakże nie ma być Żydów, kiedy chrześcijanie domów nie kupują?... Gdyby każdy bogaty Litwin kupił choć jedną kamienicę w Ryнку i utrzymywał ją porządnie, to i fetoru nie znalazłbyś nawet za pieniądze.

Spalić Warszawę – krzyczał dalej – toście umieli, ale do pokuty, ale do zadośćuczynienia za grzechy to was nie ma!...

– Przeżegnaj się, acan – mówię – któż tam znowu spalił Warszawę?...

– A Litwini – odpowiada jegomość – w roku 1669... Do śmierci im tego nie zapomnę...

"Rany Chrystusa Pana!..." – myślę sobie. Ale że w historii nie jestem biegły, więc zamiast spierać się, odpowiedziałem:

– Cóż to za jeden ten Fukier?... On, zdaje się, wino sprzedaje, ha?... Może by do niego wstąpić na naparsteczek?...

– Dajże spokój!... – wtrącił mój kolega z Syberii, u którego zatrzymałem się. – Kto teraz wino pije?... Czasy nie po temu...

Ale jegomość, który przyczepił się do nas na Podwalu, znowu w krzyk:

– Dlaczego nie pić wina?... A cóż kupiec zrobi z winem: w rynsztok wyleje?... Kiedy Litwinom podobało się spalić Warszawę, to niech teraz gaszą – choćby pragnienie

potomków nieszczęśliwych obywateli, których domy zamieniły się w perzynę...

Boże miłosierny! jak żyję, nie myślałem, że rodzę się z podpalaczów!... No, ale jeżeli człowiek uważa się za pokrzywdzonego, to trudno, niech sam wyznaczy pokutę...

Więc pomimo oporu mego kolegi Sybiraka weszliśmy do sklepu.

– Przynajmniej – odzywa się zmartwiony Poniewolski – nie pijcież wina drogiego... Krymskie tu powinno być niezłe...

– Krymskie u Fukiera?... – wrzasnął Pijankiewicz. – Pan wiesz, co ja płuczę krymskim winem?... z pewnością, że nie gardło!...

– Więc lekki sotem – szepnął mój kolega Poniewolski, któremu nakazano wystrzegać się trunków z powodu sklerozy.

Ale Pijankiewicz ani słuchał. Zbliżył się do subiekta i zaczął dysponować półgłosem:

– Daj no pan buteleczkę tego mojego, którym ja zawsze zaczynam... Potem buteleczkę tego mojego, co go piję później... Potem zobaczymy, a na samym końcu dasz nam buteleczkę tego, którym ja zawsze kończę, jeżeli jestem w towarzystwie dobrych patriotów.

"No – myślę – Warszawa nieszczęśliwe miasto, ale też w nim ludzie umieją się pocieszać... Co prawda, to i w Wilnie znalazłby takich samych; choć i my też nacierpieliśmy się, oj!... nacierpieli..."

Pijankiewicz zaprowadził nas do ciemnego osobnego pokoiku, usadowił za stołem, a gdy subiekt przyniósł butelkę, sam zaczął nalewać kieliszki.

Powiadam tobie, moje serce, jak skosztowałem tego wina, które miało iść na początek, to zrobiło mi się błogo w ustach; a kiedym wypił tego – co szło na numer drugi, to zachciało mi się śpiewać. I co powiesz, zaśpiewałem tak cudnie, tak od duszy, że mi się łzy w oczach zakręciły. Więc

pomyślałem: "Boże miłosierny!... trzeba było aż do Warszawy jechać, ażeby człowiek dowiedział się, że jest śpiewakiem."

Spojrzę, aż widzę, że nie ja sam płakałem.

Pijankiewiczowi łzy jak groch płynęły z oczu, a mój kolega Sybirak, Poniewolski, oparł głowę na rękę i tylko się trząsł.

– Zjedzą nas Żydy – mówił Poniewolski – zjedzą jak amen w pacierzu... Zjedzą, zwymiotują do Wisły i popłyniemy do Gdańska...

– Gwałciński... bracie Polaku, nie mów tak!... – przerwał Pijankiewicz.

– Ja przecie nie jestem Gwałciński, tylko Poniewolski...

– Wszystko jedno... nie masz się co spierać o głupie nazwisko. .. A Żydy nie zjedzą nas... Jak ta kępa na środku Wisły bywa co roku pod wodą, a potem wydobywa się na wierzch, tak i nasze Stare Miasto nieraz tonęło w klęskach i zawsze wypływało... Tombalski...

– Ja przecie nie jestem Tombalski, tylko Poniewolski...

– Wszystko jedno... Aleś mój brat... Polak... Więc daj pyska, a bestia Litwin niech płaci, kiedy spalił Warszawę...

W tej chwili dopiero, mówię ci, serce, przypomniałem sobie, że pośrodku nas jest jeden Litwin. Myślę sobie:

"Któryż by to?..." Obejrzałem się i... spostrzegłem na ciemnej ścianie izby jasny krążek, który z wolna powiększał się, a w środku jego coś ruszało się jak różnobarwne robactwo i nawet szemrało. Więc pytam moich towarzyszków, kolegę Sybiraka i Pijankiewicza: "Widzicie wy, co się wyrabia na ścianie?", a kolega mówi: "Widzimy." Zaś Pijankiewicz dodał:

– To musi być kinematograf!... I jak szczęścia pragnę, tak on nam pokazuje coś, niby nasze kochane Stare Miasto... Nawet słyszę głosy...

– Bo widać jest to kinematograf gadający... – dorzucił Poniewolski.

Czy moi towarzysze jeszcze co mówili, nie wiem, ponieważ cały zatopiłem się w tym, com widział i słyszał. A oto jakie było nasze nadzwyczajne widzenie:

Lato, świt. Oczywiście Rynek Starego Miasta. Na środku placu, nieosobliwie zabrukowanego, wznosi się dziś nie istniejący ratusz. Dokoła niego widać dwa szeregi domów: jedne tworzą część północnej, inne część zachodniej ściany Rynku. Domy o grubych murach, malowane barwami: czerwoną, zieloną, niebieską, i ozdobione wizerunkami świętych, lwów, gryfów, okrętów. Niektóre wizerunki i gzemysy są złoczone; drzwi żelazne, okna potężnie zakratowane.

Z bocznej ulicy wyjeżdża kilka fur, wielkich jak chaty, zaprzęgniętych we cztery i sześć koni; furmani mają przy bokach ciężkie szable. Fury stają, z bram wybiega służba męska i zdejmuje ładunki. Oto skrzynie aksamitu, sukna, tkanin jedwabnych i lnianych. Oto beczki wina, wory korzeni z ciepłych krajów. Oto szkło, zegary, broń, sztaby żelaza. Wszystkie te towary i mnóstwo, mnóstwo innych wnoszą do składów i piwnic, gdzie służba ustawia je, a urzędnicy sklepowi zapisują.

Na dworze robi się coraz widniej; Rynek znika, a zamiast niego widać mieszkanie kupca. Ogromne szafy i łóżka z baldachimami, ciężkie stoły i krzesła rzeźbione, także kredensy. Na stolikach drobiazgi z chińskiej porcelany i kości słoniowej; w kredensie srebrne talerze i złociste puchary. Przez pokój przechodzi pani domu; na sukni błękitnej jedwabnej ma drugą suknię z dużym ogonem, z przodu otwartą. Na głowie aksamitny kapturek, haftowany złotem, w uszach brylanty, na szyi perły, w rękach książka do nabożeństwa spięta złotymi klamrami. To jest pani kupcowa. Cudnie piękna idzie do kaplicy na mszę ranną, w godzinie, kiedy tam bywa dwór królewski.

A tymczasem kupiec, Gize czy Baryczka, w czarnym aksamitnym kaftanie i obcisłych spodniach wydobywa z torby u pasa klucz i otwiera żelazne drzwi w ścianie. Tam stoją dwie ćwierci srebrnych talarów i trzygarncowe beczułki napelnione złotem. Wola jednego ze swych pomocników i sypie mu w fartuch kilka garści pieniędzy dla furmanów za przywieziony towar.

Mniej więcej to samo powtarza się we wszystkich domach Rynku. Wszędzie sprzęty wytworne, bogate dywany, kobiety strojne w jedwab i drogie kamienie, kupcy dumni, za żelaznymi drzwiami beczułki srebra i złota. Bogactwo leje się wrotami i oknami.

Po mszy Rynek zapełnia się. Szlachta i szlachcianki, przekupnie uliczni, rycerstwo w wysokich butach z dźwięcznymi ostrogami, mnichy, księża świeccy, rzemieślnicy, mieszczanie, mieszczanki, żebracy, wszystko to dąży do sklepów, jedni za sprawunkami, inni za zarobkiem lub jałmużną.

– Zdaje się, że to będzie początek siedemnastego wieku... Piękna wtedy była Warszawa, co?... – wyszłochał Pijankiewicz, jedną ręką ocierając łzy, drugą podnosząc do ust kieliszek.

Obraz gaśnie i po chwili pokazuje się inny. To samo miasto, ale w Rynku jakiś niepokój. Tłum biegnie w stronę północną, słysząc pospieszny dźwięk dzwonów. Wkrótce nad domami ukazują się gęste kłęby czarnego dymu i jaskrawe płomienie, które wypełniają cały widok.

– To ten pożar, co go Litwini zrobili!... – szepcze Pijankiewicz.

– O... dałbyś spokój!... – gromi go rozezłoszczonym głosem Poniewolski.



A ja, serce moje, nic... tylko patrzę... słucham i zalewam się Izami. Już nie mój cudny śpiew tak mnie usposabia, ale wspomnienia... Cóż to było?... Gdzież to jest?...

Ciemnokrwawe tło obrazu poczyna się wyjaśniać. Dym powoli opada, a na miejscu przebogatych domów widać okna bez szyb, ściany czarne, sterczące kominy, a w mieszkaniach stosy kamieni i opalonego drzewa.

– Wtedy było gorzej w Warszawie aniżeli dziś!... – szepnął Pijankiewicz.

– Jak tam komu... – odpowiedział Poniewolski. – Lepiej pod własnymi zgliszczami aniżeli pod cudzym butem...

"Święte słowa!..." – chciałem powiedzieć. Ale pomyślawszy, że może to zabronione, ukąsiłem się w język.

Nowy obraz. Rynek, lecz w nim ani śladu pożaru. Domy białe, w oknach dywany, kwiaty i strojne kobiety, na ulicy tłum klęczy z obnażonymi głowami. Słychać dźwięk dzwonów i strzały armatnie, sztandary cechowe łopocą na wietrze, skądś dolatuje muzyka i śpiew kościelny. Ludzi mnóstwo, odzież ich czysta a nawet bogata, twarze pogodne. Odbywa się uroczystość dziękczynna, może na intencję jakiegoś zwycięstwa?... W każdym razie ani w budynkach, ani w fizjognomiach nie ma śladu minionej klęski.

– Widzisz, jak zmartwychwstała Warszawa z pożogi?... – krzyknął Pijankiewicz.

W naszej izbie znowu robi się ciemno; obraz znika, a w chwilę później ukazuje się coś zupełnie innego. Rynek prawie pusty, żelazne drzwi domów pozamykane, okna zabite deskami. Przed ratuszem kilku żołnierzy, którzy nikomu nie pozwalają się zbliżyć grożąc strzelaniem. Kilku ludzi czerwono ubranych, z krzyżami na piersiach, niosą mary nakryte czarnym suknem, na widok czego rzadcy przechodnie klękają, a potem szybko uciekają.

Na rogu ulicy jakiś dostatnio ubrany człowiek upadł z krzykiem. Spoza węgła wysunął się obdartus, rozejrzał się i upadłemu począł rewidować kieszenie. Wtem – nadeszła warta. Na głos rogu przybiegli czerwono odziani ludzie i leżącego zabrali; obdartusa zaś wartownicy wzięli pod rękę, podprowadzili do dwu słupów złączonych u góry belką i na tej belce powiesili.

– Wiem!... wiem!... – zawołał Pijankiewicz – to jest dżuma w Warszawie.

Na obrazie tymczasem ludzie stopniowo znikli; w Rynku pozostało kilka trupów, a nad nimi modlący się dominikanin.

– Wiem!... wiem!... – powtarza Pijankiewicz. – Wtedy prawie całe miasto wymarło. Gorzej było aniżeli dziś!...

– Nie wiadomo, co gorsze – odmruknął mój kolega Sybirak – umrzeć czy zgałganieć?...

Tymczasem powoli z ciemności wydobył się nowy obraz. Ten sam Rynek staromiejski, ale pełen ludzi, pogody i krzyków radosnych. Domy nowe, ozdobne, w niektórych oknach dywany i chorągiewki. W stronę kościoła posuwa się orszak, oczywiście weselny: pan młody konno w fiołkowym fraku jedwabnym, drużbowie w barwnych strojach cudzoziemskich lub kontuszach, biało ustrojona panna młoda i jej družki w lektykach, za nimi kilka ozdobnych powozów ze starszymi paniami. Słyszeć strzały pistoletowe, okrzyki ludu, muzykę... Przed ratuszem pieką się dwa woły, nieco dalej – leży góra chlebów i stoi kilkanaście beczek piwa dla pospólstwa. Patrząc na te domy jasne i ozdobne, na mnóstwo ludzi sytych, śmiejących się, śpiewających, człowiek nie może przypuścić, że widzi to samo miasto, w którym niedawno panowała morowa zaraza!...

– A nie mówiłem, psia... kość – zawołał Pijankiewicz – że nasza kochana Warszawa i z tego się wykaraska?... Jak

wyspa na Wiśle: co ją zaleje woda, to ona znowu się wydobywa na wierzch.

– Dopóki ze szczętem nie utonie... – wtrącił Poniewolski.

– Tyś pijany, Bą...Bączkiewicz?...

– Nie nazywam się Bączkiewicz!... – odparł z gniewem mój kolega Sybirak.

Tymczasem przesunęły się jeszcze dwa obrazy. Na jednym było widać dzisiejsze Stare Miasto z jego kramami. Żydami, niechlujstwem. Zdało się, że na chodnikach nigdy błoto nie wysycha i że ściany domów składają się nie z cegieł, ale z brudu.

– Oto skutki naszego niedbalstwa!... – wrzeszczał Pijankiewicz. – Gałgany jesteście, i basta!...

– Staraj się mówić w liczbie pojedynczej... – upomniał go Poniewolski.

Ostatni obraz był po prostu cudownym zjawiskiem. To chyba nie Stare Miasto, ale jakiś gród fantastyczny! Domy wszelkich możliwych, ale jasnych, delikatnych barw, okryte malowidłami i płaskorzeźbą, niby szkatułki bezcenne. Treścią zaś malowideł: historia każdego domu i jego właścicieli od kilku wieków!... Rynek, zamiast zwykłych kamieni, wyłożony różnokolorową mozaiką; na środku śliczny ogródek płonący żywymi kwiatami. Pełno dzieci, uczniów, strojnych kobiet, cudzoziemców, którzy po to tylko przyjechali, ażeby zwiedzić nasze dziwo i złożyć hołd jego pięknościom i ciekawościom. Niektóre bowiem domy Rynku stały się muzeami zbiorów z całego kraju...

– Ot, widzisz, że znowu Warszawa wykaraskała się! – rzekł Pijankiewicz.

Obraz zniknął, w naszym pokoiku ukazał się subiekt. Spojrzeliśmy na zegarki – już późno!... Zapłaciłem rachunek, zresztą niezbyt wielki, jak na takie nadzwyczajności...

– Ale też macie piękny kinematograf!... – odezwał się Poniewolski.

– Jaki, przepraszam, kinematograf?... – zapytał zdziwiony subiekt.

– No, ten, co pokazuje Stare Miasto...

– Przepraszam, ale to chyba nie u nas...

– Co się masz tłumaczyć!... – przerwał Pijankiewicz, gwałtem wyprowadza jąc mego kolegę Sybiraka. – Poniewolski nazywa się.

Gdy znaleźliśmy się za progiem, usłyszałem, że subiekt mówi do drugiego:

– Różnych pijaków zdarzało mi się spotykać: takich, co widywali diabły, węże, robactwo... Ale takiego, który zobaczył kinematograf w pustym pokoju, to jeszcze nie spotkałem...

– To o nas!... – oburzył się Pijankiewicz. Chciał wrócić do sklepu i zrobić dużą awanturę, ale – nie mógł znaleźć klamki, a gdy nareszcie znalazła się, zapomniał, o co mu chodziło.

Więc smutni wróciliśmy do domu.

Bolesław Prus  
*Widziadła*

Redakcja: *Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-266-1, Festina 2014

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE  
[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)